

Mój Tato

(ze wspomnień syna, Andrzeja Węgrzyna)

Mój tato, Henryk Węgrzyn urodził się w 1892 roku w miasteczku Granica, dziś już nieistniejącym, wtopionym teraz w konglomerat przemysłowy Górnego Śląska, wówczas w kącie trzech mocarstw, jako syn felczera Józefa Węgrzyna, który, jeśli dobrze pamiętam jak tato wspominał, pomagać miał powstańcom z 1863 r.

Średnią szkołę rosyjską skończył w miejscu zamieszkania. Zawsze świetnie mówił po rosyjsku i lubił ten język. Studia robił jednak w Niemczech, w Aachen*, gdzie ukończył wydział chemii jako inżynier. Żył w jakimś dużym konflikcie z ojcem, ale nie wiem, o co chodziło, tato zresztą nigdy o nim nie chciał wiele mówić. Dziadek jednak zmarł, zanim tato skończył studia.

Pracę rozpoczął w rafinerii nafty w Drohobyczu, chyba gdzieś tuż przed pierwszą wojną. W 1916 r. ożenił się z mamą, Olgą Kostecką, sierotą, będącą wówczas pod opieką obcych ludzi, wbrew ostremu oporowi obu rodzin. Jedna uważała za mezalians wyjście za mąż hrabianki** za syna zwykłego felczera, druga nie mogła tacie darować ożenku z ubogą sierotą, uważaną za suchotnicę. Obojgiem zaopiekowały się serdecznie przyjazne rodziny znajomych, Zacharskich, Langów i Mączaków i ich uważało się u nas zawsze, za prawdziwych wujków i ciotce.

W 1918 r. urodził się pierwszy syn Jerzy, w tym czasie tato przebywał, jako ochotnik na szkoleniu wojskowym, jednak wojna bolszewicka skończyła się, zanim szkolenie się skończyło. Po jego powrocie do domu, mama się skarżyła:

—W ciągu tych dwu lat przeszłam dwa tyfusy, urodziłam syna, a tyś nawet jednego listu nie napisał!

---No wiesz, nie wiedziałem, że jesteś taka wymagająca.--- Tato nie był łatwy w pożyciu, surowy, małomówny, niechętnie zdradzał uczucia.

Tato był dość niski, tęgi, lisy. Resztki włosów z boków i od tyłu zwykle ja strzygłem maszynką „na zero”. Nie wiem, ani nawet mama nie wiedziała, jakiego koloru miał włosy. Zawsze były siwe. Miał zawsze poważne, brązowe oczy. Nie był szczególnie muzykalny, najbardziej lubił operetki, nie znosił recitali śpiewaczek operowych, koloratury, „wyjących bab”. Bardzo dużo palił, tylko dobre papierosy, ale nie zaciągał się, co miało ten skutek, że wokół niego unosił się zawsze obłok dymu. Palenie rzucił w jednym dniu, dopiero w czasie wojny, w Ciężkowicach. Papierosy były wtedy drogie i kiepskie. Nie znosił alkoholu. Z trudem udawało się go namówić na jeden kieliszek; kiedy jednak, w czasie jakiegoś balu wypił nieco więcej, robił się nadzwyczajnie hojny, co było niezwykle u niego, i co skrzętnie wykorzystywali i mama i Jerzy. Później był markotny, ale nigdy o to nie miał pretensji.



W 1920 przeniesiono tatę do rafinerii nafty w Gliniku Mariampolskim koło Gorlic, gdzie po kilku, czy kilkunastu latach pracy został wicedyrektorem. Warunki bytowe z biegiem czasu znacznie się poprawiały. Luksusowe mieszkanie, świetna pensja, hektarowy ogród, stajenka, w niej krówka, świnka, i kurki. Dom i ogród obsługiwały dwie służące i zaprzyjaźniony, zawsze nam szczerze oddany robotnik – kierowca Kmon. Rodzice szybko włączyli się w doborowe towarzystwo rodzin kadry inżyniersko–urzędniczej. Rozwijano życie kulturalne. Tato intensywnie działał społecznie. Zawzięty pilsudczyk, prezes powiatowy Strzelca, Towarzystwa Myśliwskiego, działacz w wielu akcjach społecznych, zyskał szybko szacunek w środowisku. Pracował też naukowo. Opatentował kilka wynalazków w dziedzinie produktów ropopochodnych. Nie znosił tylko zainteresowań pań sportem (Mama grała w tenisa). Pisał nawet protesty do gazet w tej sprawie.

Rodzice urządzili dom, kupili nowoczesne meble, radio. Tato namiętnie polował, łowił ryby, niezbyt chętnie, ale dobrze grał w brydża. Bardzo cenil radio. Zawsze z uwagą śledził wydarzenia polityczne, bieżące wiadomości. Lubil słuchowiska, zwłaszcza Wesolą Lwowską Falę. Aparat radiowy zawsze był nowy, nowoczesny. Była wówczas taka możliwość, że kupowało się radio na próbę, na dwa–trzy miesiące, i jeśli nabywca nie był zadowolony, mógł dostać na następną próbę nowe. Tato oczywiście chętnie z tych wymian korzystał. Wielką jego pasją była fotografia. Miał kilka dobrych aparatów i specjalną ciemnię w domu. Zrobił sporo ciekawych zdjęć. Odbył też, z przyjaciółmi, spływ kajakami własnej roboty, Dunajcem i Wisłą do Gdańska. W domu trzymał wszystkich w ryzach. Był dla wszystkich niezaprzeczalnym autorytetem. Szanowaliśmy go i słuchaliśmy zawsze.

W rodzinie, prócz babci, byliśmy też oboje z Hanią. Przy stole „dzieci i ryby nie mają głosu”. To obowiązywało. Nigdy natomiast nie krzyczał, ani nas nie uderzył. Na imieniny, przy obiedzie znajdowało się obok talerza 5 złotych, była uroczysta buźka i po sprawie. Nigdy na nic się nie skarżył; gdy miał gripę, kładł się do łóżka i zamykał drzwi. Każde skaleczenie mył szczotką i mydłem; nigdy nie było żadnych powikłań. Że cierpiał na zęby, dowiadaliśmy się od dentysty.

Pewnego razu pojechał do Krakowa z Kmonem, szoferem, nikomu nie mówiąc po co. Po trzech dniach szofer wrócił cały pobandażowany.

- Co się stało? – Woła mama.
- Kiedy mi pan inżynier zabronił mówić.
- Ale żyje?!
- Tak i chyba jutro wróci.



Tak tato kupił i zaraz rozbil auto. Za domem stanął murowany, ogrzewany garaż. Naprawiony samochód, Polski Fiat 110, nigdy już jednak nie był całkowicie sprawny, choć i tato nie był najlepszym kierowcą. Jeździł ostrożnie, niezbyt często.

Może dlatego wspólne wyprawy autem były prawdziwym, radosnym wydarzeniem: na ryby, na jakieś rajdy, a zwłaszcza wieczorne wyjazdy na wieś, na raki, (zbierało się nie raz i po dwie kopy – co to były później za ucztę!)

Cechą charakterystyczną taty była wyjątkowa oszczędność, czasem granicząca ze skąpstwem. Pamiętam cotygodniowe awantury z płaczem, z mamą, gdy jechała bryczką, z Anielką, kucharką, do Gorlic na targ. Tato dawał 10 złotych.

– Co ja kupię za to na cały tydzień?

– No, to ile chcesz?

– Daj tyle, żeby starczyło! – Tato dodawał 5 złotych. I tak to się ciągnęło. W końcu mama dostawała ile potrzebowała, ale i tato swoje uszczknał. Potrzebowałem nową czapkę. W gimnazjum czapka zużywała się szybko, bo służyła do wielu rzeczy i miała zawsze złamany daszek.

– Tato, daj mi na nową czapkę!

– Dopiero co kupowałeś nową. Ja moje kapelusze noszę dwadzieścia lat!

– Ale zobacz jak wygląda ta! Nie wpuszczą mnie z nią do szkoły!

W końcu dostawałem na czapkę, po płaczu i prośbach, ale prawie o wszystko były takie targi. W efekcie rzeczywiście nie kupowało się rzeczy, czy materiałów luksusowych. Tylko mama na suknie, czy stroje miała zawsze ile chciała. Jej nigdy nie odmówił, jak nigdy nie protestował przeciw obecności i pracy w domu panny Broni, krawcowej, już niemal jak członka rodziny, która szła mamie i Hani sukienki. Zawsze też mogła mama, która często słabowała, jeździć co roku na leczenie do sanatorium w Szkle, czy w Krynicy.

Miał w życiu jedno marzenie, ku któremu dążył i które wszystko tłumaczyło. Pragnął zebrać sumę, by kupić własny dom i założyć jakąś fabrykę. W końcu, w 1937 roku, oczywiście w tajemnicy przed rodziną, kupił w Gorlicach tak zwaną Buciarnię. Była to hala fabryczna długa na 110 metrów, szeroka na 40 metrów, i dwupiętrowy budynek mieszkalny, z lokatorami – przedwojenna fabryka butów, już bez maszyn, mocno zdewastowana, wymagająca kapitalnego remontu. Tato kupił ją tanio, na licytacji za dług, zabrał się powoli za remont i zaczął szukać współnika. Chętni byli, ale tato przebierał. Nie chciał wiązać się z Niemcem, ani Żydem. Tato nie był nacjonalistą, choć z początku podziwiał Hitlera za reformy i likwidację bezrobocia, wysoko cenił niemiecką literaturę i sztukę, wiele wierszy Goethego umiał na pamięć. Nie miał też awersji do Żydów, miał wśród nich kilka rodzin zaprzyjaźnionych, między innymi inżyniera Weissa, głównego elektryka w rafinerii, chętnie zatrudniał też żydowskich rzemieślników, jak malarzy domowych Geblów; nie unikało się dentyków, czy lekarzy Żydów, jeśli byli tego warci. Zawsze też na Wielkanoc dostawaliśmy w prezencie oryginalną żydowską macę.

Aż 3 Maja 1938 zdarzyło się nieszczęście. Tato, zawsze wielki patriota, otrzymał Złoty Krzyż Zasługi i postanowił na to święto, ufundować dla Oddziału Strzelca sportową strzelnicę. Sam był świetnym strzelcem, miłośnikiem broni palnej; na ścianie w swoim pokoju miał rozwieszony dwie szable, dubeltówkę, flobert, wielkiego kolta i raketnicę. Uroczystość odbyła się z udziałem władz wojskowych, starosty, pralata, który obiekt poświęcił. Na inaugurację ważniejsi oficjele mieli oddać po trzy strzały honorowe. Tato strzelał jako drugi, z flobertu, małym pociskiem tzw. szortem. Po pierwszym strzale obsługujący strzelec wybiegł zza schronu, sprawdził wynik strzału i wrócił, po czym dał sygnał do następnego strzału. W tym czasie, gdy tato mierzył, obsługa w schronie posprzeczała się o wynik taty strzału i jeden z nich, strzelec

Dąbrowski podbiegł do tarczy, by potwierdzić wynik. W tym momencie tato, zgodnie z sygnałem, wystrzelił. Młody człowiek padł nieprzytomny. Po przewiezieniu do szpitala stwierdzono, że pocisk trafił w podstawę czaszki i spowodował natychmiastową śmierć.

Tato był w głębokim szoku. Sprawę uznano oczywiście za nieszczęśliwy wypadek i szybko umorzono, ale w „Czerwonym Gliniku” ruszyły w obieg hasła jak: „Panowie sobie dla sportu strzelają do robotników” i podobne. Wbrew radom prawników, tato ofiarował wdowie po zabitym 5 tysięcy złotych – to była wtedy fortuna. Rodzina szybko wyczuła okazję i zaczęto tatę bezczelnie nachodzić. Nikomu się nie zwierzał i nie wiemy, ile z niego wyduszono, ale Wdowa szybko postawiła nowy dom i wyszła za mąż.

Dyrekcja koncernu, świadoma stanu, w jakim się tato znalazł, w celu uspokojenia go, wysłała go na delegację służbową do Gdańska, na dwa tygodnie. Jednak to już był rok 1939, tato z Gdańska wrócił bardziej roztrzęsiony niż przed wyjazdem. Nigdy też już więcej nie wziął do rąk broni.

Wybuchła wojna. Już po dwu dniach zaczęto rozmontowywać fabrykę i ładować pociąg ewakuacyjny. Tato kazał cenne rzeczy z domu ukryć w lochach klasztoru w Bieczu, a część umieścić w samochodzie, którym mieliśmy uciekać. Tymczasem ruszyła lawina uciekinierów, pomieszana z wojskiem. Mnie tato kazał pilnować przez chwilę auta, przed domem, na szosie, lecz jakiś oficer wygnał mnie z niego, wsiadł i pojechał. Uciekaliśmy pociągiem, w bydłym wagonie, trzy dni. Na stacji Nadyby Wojutyńskie, koło Sambora, pociąg nasz zbombardowano. My leżeliśmy skryci, koło strumienia i wtedy dostrzegłem następną cechę taty – całkowity brak uczucia strachu. Stał obok strumienia i obserwował lecące bomby. Tę cechę u niego, w czasie wojny, zaobserwowałem jeszcze wielokrotnie. Hania dzielnie pomagała lekarzom w opatrywaniu dość licznych rannych, nikt jednak wówczas nie zginął.

Dalej uciekaliśmy pieszo, tylko dwie furmanki na rzeczy wynajęto za złote zegarki. Dotarliśmy do wsi Waniowycze i pozostaliśmy – mama, Hania i ja, pod opieką ukraińskiego popa, Wenhrynowycza, który okazał się ojcem żony naszego dyrektora rafinerii, Marczaka. Był to wysoki, dostojny, 74 – letni starzec, z siwą, długą brodą. Był dla nas bardzo dobry, jedynie zabronił nam rozmawiać przy ludziach po polsku, bo mimo szacunku, jakim go chłopcy darzyli, nie byłoby to bezpieczne. Ja rżnąłem i rąbałem szczapy i polana, by zaopatrzyć plebanię w opał, na zimę.

Tato i inni inżynierowie poszli dalej do Drohobycza. Przyszli Niemcy i odeszli. Tacie sowieci zaproponowali pracę w Baku – „Dobrowolnie, bo jak nie, to już my wam znajdziemy pracę sami, na innych warunkach!” Na takie dictum, tato zwił do nas, do Waniowic, gdzie spędziliśmy dwa miesiące i pojechaliśmy do Przemyśla; staliśmy trzy dni o głodzie w kolejce przed mostem, żeby wrócić do domu. Tato zdobył na wyżywienie jedynie torebkę rodzynek. Jakoś, w potwornym tłoku, dotarliśmy pociągiem do Glinika. Dom był w takim stanie, w jakim go zostawiliśmy, pilnowany przez kochanego psa Smoka.

Nazajutrz tato zgłosił się do pracy u niemieckiego dyrektora rafinerii. Polecono mu napisać życiorys i podanie. Pisał je całą noc, zużył masę papieru, a rano poszedł do dyrektora i

oświadczył, że on dla nowych władz pracować w rafinerii nie będzie. Na to dowiedział się, że tylko dzięki wstawiennictwu miejscowych pracowników, Niemców, nie zostaje natychmiast aresztowany. – Ale jak długo my tu jesteśmy, a będziemy zawsze, to pan pracy nigdzie nie znajdzie. Mieszkanie służbowe opuści pan w ciągu trzech dni. – Tato był jedynym polskim inżynierem nafciarzem, który oficjalnie odmówił pracy dla Niemców i rzeczywiście, całą wojnę nigdzie nie pracował.

Buciarnia była zajęta przez polskich jeńców, potem przez wojsko. Tato wynajął mieszkanie w Gorlicach. Masę mebli i gratów z wielkiego mieszkania poupychało się po znajomych. Odebraliśmy schowane rzeczy z klasztoru w Bieczu, częściowo uszkodzone z powodu wilgoci.

Hania poszła do pracy do szpitala, ja do drukarni, Jerzego od razu wzięto do Baudienstu. Po pół roku zwolniło się miejsce w domu, w Buciarni. Tato zaczął wyrabiać mydło, ale szło mu słabo. Pomogli mu koledzy inżynierowie, umożliwiając nielegalne pośrednictwo w sprzedaży asfaltu firmie, produkującej baraki dla wojska. Bez prowizji dla taty, dostawy nie dochodziły. Buciarnię zajęło wojsko, artyleria konna. Przy stajniach znalazło się też miejsce dla naszej krowki, która karmiona zlewkami z koszarowej stołówki spała się jak prosię. Tato wojował z wojskiem, bo żołnierze tratowali końmi jego ogródek, który usiłował uprawiać. Ustawił tablicę z napisem po niemiecku: „Panowie żołnierze są proszeni o nie niszczenie cudzej własności”. Mało go za to nie zamknęli, ale on nie znał strachu i po niemiecku zażarcie wyklócał się o swoje.

Tydzień przed inwazją Niemców na Rosję, Gestapo dokonało u nas rewizji i tato dostał nakaz, aby w ciągu trzech dni, wraz z rodziną, opuścił Gorlice i pod karą śmierci nie wolno nam było zamieszkać i przebywać na terenie powiatów: nowosądeckiego, gorlickiego, krośnieńskiego i w całym województwie lwowskim. Tak dowiedzieliśmy się o mającej nastąpić wojnie. Tato poprosił więc o przepustki na przejazd koleją. – Żadnych przepustek! – Tato wynajął więc cztery furmanki i tak dojechaliśmy do Ciężkowic, w powiecie tarnowskim, gdzie, prawie bez nadziei, poszukiwał jakiegoś lokum na mieszkanie. Dopiero na drugi dzień podszedł do taty młody, sympatyczny człowiek, przedstawił się jako doktor Podhorecki i zaproponował mu, jeśli nam to wystarczy, pokój z kuchnią na mieszkanie w swojej, właściwie wiejskiej, chacie. On, z rodziną, pomieszczą się w drugiej połowie domku. – Zapłaci nam pan za mieszkanie po wojnie. – Tak, w skromnych warunkach, rodzice z Hanią przetrwali wojnę, w wielkiej przyjaźni z rodziną Podhoreckich, to jest z doktorem – Staszkiem, jego rodzicami i Mietkiem, moim rówieśnikiem. Tato nadal produkował mydło, a potem perfumy na bazie bimbru. I tam rodzice z Hanią dotrwali do przyjscia sowieckich wojsk.

Do Gorlic sowietci przyszli w styczniu, gdy ja pełniłem służbę w Straży Pożarnej i udało się nam uniknąć rozkazu ewakuacji. Już po kilku dniach przyszła do mnie delegacja pracowników Rafinerii z prośbą, żebym odnalazł tatę i skłonił go do przyjazdu, celem uruchomienia fabryki. Pojechałem więc z nimi do Ciężkowic; przysłano ciężarówkę i uroczyście oddano nam do dyspozycji dyrektorskie, komfortowe mieszkanie na wzgórzu, nad rafinerią. Tato wnet zabrał się do pracy. Fabryka była częściowo uszkodzona po sowieckim bombardowaniu, częścią rozkradziona, na przykład pasy transmisyjne, mniejsze silniki itp. Mnie tato powołał na zastępcę dowódcy straży fabrycznej i pożarnej. Uzbrojono nas i pełniliśmy warty, zwalczając plagę kradzieży, do których załoga była za niemieckich czasów przyzwyczajona i świetnie

przygotowana, Często też były utarczki i próby rabunków ze strony różnych grup ruskich żołdatów.

Tato z ruskimi doskonale sobie radził, odzyskiwał za wódkę i benzynę konieczne rzeczy i po dwu tygodniach cała rafineria ruszyła pełną parą. Największą trudność stanowił brak pieniędzy – zarobków nie wypłacano nikomu – i żywności, którą Ruscy wywieźli. Pierwszą pensję dostaliśmy dopiero po trzech miesiącach. Z fabryką tata sobie radził, natomiast natychmiast zaczęły się konflikty polityczne. Radę Zakładową wyrzucił za drzwi – „fabryką ja kieruję i nikt mi tu nie będzie się wtrącał”. Nie pozwalał też na wtrącanie się partii do spraw technicznych, tym bardziej, że w większości byli to ludzie nadający się raczej do zwolnienia z pracy. Jednak trudności z władzami, partią, która nie mogła tacie zapomnieć działalności w przedwojennej dyrekcji, były coraz większe; narastała wrogość, zaczęto nawet wracać do tragedii na strzelnicy przed wojną. Z racji posiadania Buciarni stał się „burżujem”, choć to była rudera, w której niczego nie produkowano. Po ponad roku mianowano nowego dyrektora, przeniesiono rodziców do innego mieszkania, na parterze dwurodzinnego, ładnego zresztą domu. W rafinerii tato kierował oddziałem produkującym parafinę. Gdzieś się podziiali, tak liczni dawniej przyjaciele, z wyjątkiem sympatycznej rodziny Mitisów, mieszkającej piętro wyżej. Ale przyjaźń i współpraca z uroczą Czesią Mitisową, to już część historii mamy i o tym będzie później.

Rodzice zostali sami. Jerzy, który przez okres około roku kierował majątkiem rolnym, należącym do rafinerii, wyjechał z żoną Marysią i córeczką Basią do Krakowa, Hania pojechała na nieudane studia do Szczecina, ja usiłowałem się dostać na medycynę w Krakowie i wyładowałem we Wrocławiu. Tak minęło kilka lat.

Władze partyjne czyniły wszystko, by jakoś tatę usunąć. Około 1957-8 roku, po groźnym pożarze w rafinerii w Czechowicach, skierowano go tam, jako dyrektora, w nadziei, że sobie nie poradzi i będzie go można usunąć dyscyplinarnie, a może nawet sądownie. Ale on rafinerię uruchomił bez kłopotu. Wszelako, jako że nie był już pracownikiem rafinerii w Gliniku, powiadomiono go, że utracił prawo do mieszkania służbowego. Ma przecież kamienicę w Gorlicach. Tak, jednak miasto rozdzieliło bez jego wiedzy i zgody wszystkie lokale innym rodzinom. Starania o wykwaterowanie kogoś było niepodobieństwem, wobec wrogości władz. Hania jeździła do ministerstwa, by coś załatwić. W końcu odzyskiwano, po kolei, pojedyncze pokoje na parterze w Buciarni. Tatę przeniesiono na emeryturę wcześniej, motywując to jego słabym słuchem; nie słyszał na jedno ucho od dziecka, po szkarlatynie.

Wreszcie zamieszkali na swoim. Odzyskali w domu przy Buciarni trzy pokoje i kuchnię, na części parteru. Wierna Anielka nadal służyła jeszcze u nich, w sumie, bez przerwy, prawie trzydzieści lat. Tato dość kiepsko znosił bezczynność, miewał zadyszkę. Jak zwykle chodził szybko, ale co kawalek przystawał, aby podyszeć. Jak zawsze interesował się polityką, mimo zakazów namiętnie słuchał Wolnej Europy i Głosu Ameryki, tak, jak to robił w czasie wojny, mimo że było to niebezpieczne. Nieraz bywało, że radio grało, a tato spał nad nim głęboko i pochrapywał.

Buciarnię wyremontowano. Powstały tam zakłady przemysłowe; parę razy zmieniały profil produkcji, jednak rozbudowywały się. Tato otrzymywał symboliczny czynsz, ale jako właściciel,

okazał się niewygodny tak politycznie, jak i praktycznie. Dokonano więc kupna „w trybie wywłaszczeniowym”. Za całość, tato otrzymał chyba półtora miliona, z czego mógł jednorazowo pobierać po kilkanaście tysięcy. Prawnicy znaleźli wyjście: tato dokonał kilkunastu darowizn, po sześćdziesiąt tysięcy, na rzecz wszystkich członków rodziny, oraz kilku przyjaciół, dzięki czemu i podatek od sprzedaży był znacznie niższy, jak też, po umówionym zwrocie sum, mógł dysponować całością. Myśmy z Małgosią dostali po 60 tysięcy, z czego połowę, zgodnie z umową, odesłaliśmy natychmiast, a za drugą kupiliśmy syrenkę.

Prawdziwych przyjaciół poznaje się, licząc na ich uczciwość. Niestety, kilku z „najwierniejszych” przyjaciół nigdy pieniędzy nie oddało. Tato stracił za jednym razem i forszę i przyjaciół, którzy nigdy więcej już się nie odezwali. Jedynymi, najwierniejszymi przyjaciółmi okazali się inżynier Policzkiewicz z żoną i poczciwy Kmon, wierny robotnik, jeszcze z przed wojny, na którego pomoc zawsze można było liczyć. Mama kontynuowała swoją ulubioną działalność literacko-teatralną. Przy pomocy między innymi Cesi Mitisowej utworzyła przy Rafinerii w Gliniku teatr amatorski. W ramach akcji walki z analfabetyzmem napisała i wystawiła dwie sztuki: „Będę Soltysiem” i „Dwa Wesela“, odnosząc duże sukcesy.

Minęło kilka spokojnych lat, rodzice żyli, oczekując stale odwiedzin rodziny, która zjeżdżała się zwykle w komplecie na wszystkie większe święta.

Około 1964 roku tato zaczął odczuwać trudności w jedzeniu i polykaniu, mama zauważyła tylko, że przestał chrapać we śnie (zwykle chrapał strasznie). Nie mówiąc nic, udał się do lekarza, który stwierdził guza na języku i natychmiast skierował tatę do Kliniki Onkologicznej w Krakowie. Rozpoznano raka języka, w zaawansowanym stadium, z przerzutami do węzłów szyjnych. Przeprowadzono bardzo bolesne leczenie igłami radu; doprowadzono do niemal całkowitego wyleczenia guza, jednak węzły powiększały się.

Dzięki pomocy Stefana Goszczyńskiego i mojej bliskiej znajomej Aleksandry Vorbrodt, udało nam się umieścić tatę w Instytucie Onkologii w Gliwicach, na rtg-terapię. Żegnałem tatę w holu Kliniki. Z daleka pomachaliśmy sobie rękami. Patrzył na mnie tak strasznie smutnym wzrokiem, jakby już na zawsze. Nigdy nie zapomnę tego spojrzenia! Dwie serie napromieniania węzłów promieniami Rentgena dały w efekcie bardzo znaczną resorbcję węzłów, jednak mimo moich próśb nie zgodzono się na trzecią serię. Oświadczone mi, że stan serca taty mógłby jej nie wytrzymać.

Przywiozłem tatę do domu syrenką w całkiem niezłym stanie. Poprawa trwała dość długo, jednak nie była trwała. Znajomy gorlicki lekarz, dr Otęski, zaproponował leczenie przerzutów własną metodą, ostrzykiwaniem węzłów lekiem własnego pomysłu, w skuteczność którego wierzył, jak twierdził, z doświadczenia. Zabiegi te wykonywała Hania, z niezwykłą cierpliwością i czułością, jednak węzły rosły, potworzyły się ciekące przetoki. To wszystko trwało, powoli tato tracił siły, nigdy jednak nie poskarżył się słowem, mimo bólu. Pamiętam, gdy przesuвано go na krześle, na dywaniku, do ustępu, bo chodzić już nie miał siły – pytałem go jak się czuje? – Znakomicie! – odparł prawie szeptem.

Hania pielęgnowała go sama, w miarę wszystkich sił, z niezwykle poświeceniem, aż do samego końca.

Depeszę o taty zgonie, 27 sierpnia 1967 roku, dostałem, będąc na wczasach w Łądku Zdroju, akurat wracając z trzydniowej wycieczki górskiej. Pociągiem, z czterema przesiadkami, 28 godzin jechałem, omal nie spóźniając się na uroczysty pogrzeb. Rafineria taty pożegnała go ze sztandarem i orkiestrą, jednak bez przemówienia, Byli wszyscy żyjący koledzy, cała rodzina i wielu robotników. Mamie okazano wiele szczerego współczucia.

O jego pracy i zasługach dla fabryki, o jego postawie wobec okupantów, o jego niecodziennej osobowości nie ukazała się jednak do dziś żadna publikacja.

* Zgodnie z dokumentami, Dziadek Henryk skończył studia chemiczne w Karlsruhe

** Bolesław Korczak Kostecki, ojciec Babci nie mógł być hrabią, jednak taki tytuł istniał w przekazie rodzinnym i we wspomnieniach